OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 15 Lutego 1865 roku.

Nr 7. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.



OBRAZ CUDOWNY MATKI BOSKIÉJ CZĘSTOCHOWSKIÉJ.
(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Walter).

CZĘSTOCHOWA.

(*Dokończenie.*—patrz N. 6).

Wchodząc do świątyni zostajesz zdjęty podziwem, a pokora i uszanowanie rzuca cię na kolana, żebyś uczcił Wszechmocnego w mieszkaniu Jego; lecz słyszysz jakąś słodką grę na organach, a niewiedzieć zkąd płynącą i widzisz spieszących w poboczne drzwi pielgrzymów, a więc sam się podnosisz i idziesz za nimi i stajesz dopiero w prawdziwéj kaplicy, gdzie jest cudowny obraz Matki Chrystusowéj. Tu padaj na kolana, i zmiataj czołem proch z kamiennéj posadzki, a oddając pokłon Orędowniczce naszéj, mów w zachwyceniu twéj duszy:

O jakże świecisz chwały błyskawicą,
Szczepie królewski, córko Dawidowa!
Mieszkasz wzniesiona Marjo Dziewico,
Nad niebios chóry, jako ich królowa!

W ołtarzu, z drogiego czarnego drzewa, umieszczony jest cudowny obraz w ramy złote oprawny. Bieleje się on wkoło od srebrnych aniołów i bogatych *wotów* ze srebra wyrobionych. Po bokach ołtarza są dwa duże lustra w złoconych ramach; u sklepienia wiszą mniejsze i większe lampy srebrne, których jest ośm; obiedwie ściany—są drogą, czerwoną, w złote kwiaty materją obite, a nad niemi wizerunki królów polskich i dobroczyńców tego świętego miejsca, na blachach srebrnych pięknie malowane.

Codzień rano, równo z zaczęciem mszy cichéj i z śpiewaniem godzinek o niepokalaném poczęciu, odkrywa się cudowny obraz oczom pielgrzymów; aliści jak tylko dwunasta godzina uderzy, odzywają się trąby i kotły, i blacha srebrna, misternie wyrobiona, zasłania go. Po południu, jeszcze raz, a to w czasie nieszporów, odkryty bywa cudowny wizerunek Matki Boskiéj.

Ten cudowny obraz ma swoje osobne podanie historyczne.

W miasteczku Nazarecie, gdzie się Pan Jezus urodził, był stół z cyprysowego drzewa, przez św. Józefa dla Marji Panienki wystrugany. Owóż po śmierci Zbawiciela, wymalował na tym stole święty Łukasz ewangelista prawdziwy wizerunek Matki Bożéj, która jeszcze podówczas, wielce strapiona śmiercią Syna jedynego, żyła w Jeruzalem. Po wniebowzięciu Przeczystéj Panienki, został w Jéj mieszkaniu, w domu świętego Jana, obraz przez Łukasza ewangelistę malowany, i tam też przechowywali go starannie pierwsi chrześcijanie.

Dziwne koleje przechodziło odtąd owo malowidło. Było ono u Greków w Carogrodzie, stało się potem własnością jednego cesarza niemieckiego, potem książęcia, późniéj złożono je w zamku Bełzkim na Czerwonéj Rusi, gdzie blisko przez 580 lat w dobrem zachowaniu zostawało. Razu pewnego, w czasie oblężenia zamku Bełzkiego przez Tatarów, trafiło się, iż strzała tatarska przez okno do kaplicy wpadłszy, w szyi Matki Bożéj ugrzęzła, i od tego to czasu została blizna w tem miejscu. Inny książe ze Szląska, odebrawszy późniéj Bełz, zabrał ztamtąd obraz Matki Boskiéj, i zostawił go na Jasnéj Górze, odkąd tam już ciągle przebywa. Królowie i królowe polskie zaczynają od téj pory klasztorem i obrazem się opiekować. Mnóstwo bogactw i świetności przybywa tu powoli, choć i nieszczęścia grożą jeszcze obrazowi. Owóż z końcem panowania Jagiełły, wpadają Czechowie do Częstochowy, zabijają pięciu zakonników, rabują klasztor, biorąc wszystkie ozdoby z obrazu. Przy téj to sposobności zostały dwie szramy na twarzy Matki Przenajświętszéj w obrazie, które na każdym wierzytelnym wizerunku zobaczyć można. Późniéj zaś, gdy cały kraj prawie był najechany, stawiała Częstochowa mężny opór Szwedom i innym nieprzyjaciołom.

Lecz wróćmy napowrót do świątyni.

Bardzo wspaniałą i świetną jest sama nawa kościoła. Różne tam są malowidła i rzeźby po ścianach i po sklepieniu, a podziw niemały obudza wielki ołtarz ze samych posągów o człowieczéj wielkości ustawiony, które oświeca do połowy światło dzienne przez okno z góry wpadające. Oprócz tego wielkiego, znajduje się tu jeszcze dwadzieścia innych ołtarzy, także piękna ambona i chór ogromny z niezmiernemi organami. Na lewo, idąc od wielkiego ołtarza, wchodzi się po kilku schodach do dolnéj kaplicy, świętych relikwij, dlatego tak nazwanéj, bo dużo świętości tu w niéj umieszczono. Z przeciwnéj strony jest kaplica górna, o dwa stopnie wyżéj leżąca, a ta poświęcona Jezusowi Nazareńskiemu, z pięknym ołtarzem dla niego wystawionym. Jest też tu i drugi ołtarz świętych Aniołów Stróżów, a w nim prześliczny obraz. Ta kaplica jest najwidniejszą ze wszystkich, bo światło padając z góry kopułą, oświeca ją całą. Więc tu się odbywają nabożeństwa bractw, przy kościele Jasnogórskim ustanowionych.

Jest po téj stronie kościoła także i drugie przybudowanie z ciosowego kamienia wystawione, a to jest kaplica świętemu Pawłowi pustelnikowi poświęcona. Kaplica ta, wewnątrz czarnym marmurem wykładana, mieści w sobie trzy ołtarze: główny ołtarz świętego Pawła, kędy jest wizerunek jego w sukience z czystego srebra; po bokach zaś są ołtarze świętego Antoniego opata i świętego Hieronima. Cała ta kaplica jest piękną żelazną kratą zamknięta, a stoją w niéj zwykle wszystkie chorągwie i klasztorne obrazy do noszenia przy processji, jako też i pyszny baldachim.

Między kościołem a kaplicą N. P. Marji jest jeszcze przybudowana zakrystja, obszerna i widna, a pięknemi obrazami ozdobiona. Tutaj przyjmują zakonnicy ofiary na msze święte, tutaj też poświęcają szkaplerze, koronki i sprzedają jarzące świece.

Jako więc z tego widać, nie mało jest miejsca w Jasnogórskim klasztorze. Niemałe też tam odprawiają się odpusty, na każde święto Przeczystéj Panny i na Zielone Świątki. Ludzi schodzi się jak mrowia z różnych stron, i okolic i każdy zanosi tam swoje westchnienia i prośby do cudownego obrazu. Największe odpusty odbywają się corocznie na 8 września, to jest w dzień Narodzenia Najświętszéj Panny, a w rocznicę koronacyi cudownego obrazu Jasnogórskiego. Bywają lata, w których zgromadza się do sto tysięcy ludu w Częstochowie. Śpiewają wtedy różne śliczne pieśni, i bywają piękne kazania, co aż do głębi serca przejmują, bo do cnót chrześcijańskich i miłości braterskiéj nawołują zgromadzony lud księża.

Koronacja cudownego obrazu odbywała się w dzień Narodzenia Panny Marji 1717 roku. Z niesłychaną świetnością i okazałością obchodził klasztor Jasnogórski ten obrzęd uroczysty. Zgromadzonych pielgrzymów takie niezmierne było mnóstwo, że wielu ludzi nie mogło się nawet do pierwszych bram klasztoru docisnąć, a niby wielkie wojsko otaczały nieprzeliczone gromady Jasną Górę

w około. Dla wygody tylu nabożnych pielgrzymów wystawiono za wałami klasztoru obszerną szopę, kędy zakonnicy mszę świętą odprawiali i słuchali spowiedzi. W sto lat potem, to jest w roku 1817, odbył się także na Jasnéj Górze wielki odpust i jubileusz. Przez ośm dni odprawiały się wtedy uroczyste nabożeństwa. Ludzi było podówczas przeszło sto dwadzieścia tysięcy. W rozlicznych pieśniach wychwalali oni tam najświętsze Imię Marji, dziękując téj Bożéj Rodzicielce za dotychczasową opiekę, a prosząc ją gorąco o dalsze orędownictwo u Wszechmocnego Pana.

Któżby policzył, ile modlitw, ile pieśni, ile westchnień uleciało tam z tego miejsca do wysokiego nieba? Wielkie jest miłosierdzie Boże, ono nam upaść w grzechach dotychczas nie dało, to ono nas i nadal ratować będzie, jeno zanośmy do niego modły głębokie i serdeczne.

Obok cudownego obrazu i licznych świętości kościelnych, są w klasztorze Jasnogórskim jeszcze inne kosztowności i drogocenne pamiątki z dawnych czasów. Kto więc po spowiedzi świętéj i nabożeństwach odpustowych może się jeszcze zatrzymać, niemałą ma pociechę w oglądaniu skarbców klasztoru.

Więc po ukończeniu nieszporów na wielkim kościele, idziesz z sługami kościelnemi oglądać klejnoty i pamiątki w skarbcach złożone. Skarbców tych jest dwa: jeden mały, drugi wielki. W małym skarbcu przechowują się same naczynia święte i relikwjarze, przy największych uroczystościach i nabożeństwach używane. Jest tam ogromna monstrancja ze szczerego złota 22 funty ważąca, a w niéj wielka ilość drogich kamieni i pereł. Używają téj monstrancji podczas czterdziesto-godzinnego nabożeństwa, w czasie processji na Boże Ciało i na dzień Narodzenia Najświętszéj Panny. Oprócz téj, jest tam jeszcze i druga monstrancja, mniejszéj wartości. Daléj zobaczysz trzy kielichy bardzo kosztowne i piękne, jeden relikwjarz srebrny z kostką św. Kaźmierza, figurę Niepokalanego Poczęcia Panny Marji z bursztynu pięknie wyrzeźbioną. Są to po największéj części pobożne dary królów polskich, a jeden krzyżyk, w środku z odrobiną krzyża Pańskiego, jest nawet własnoręcznéj roboty króla Zygmunta I.

Z tego skarbcu małego są drzwi na prawo, a tu wschodami przechodzi się do skarbcu wielkiego, który jest nad zakrystją zbudowany. W tym skarbcu są jeszcze większe kosztowności. Tu jest sukienka Matki Boskiéj, zwana brylantową, bo złotem, brylantami i innemi drogiemi kamieniami na zielonym aksamicie obłożona. Oprócz téj są jeszcze inne dwie sukienki: jedna rubinowa na fijałkowym aksamicie, druga perłowa, bo perłami, a gdzieniegdzie drogiemi kamieniami na karmazynowem tle wyhaftowana. Obie bardzo drogie i piękne. Jest tu dalej wiele ornatów i innych aparatów kościelnych, a między niemi, ornat z lamy złotéj z perłami przez królową Jadwigę, żonę króla polskiego Jagiełły, własnoręcznie szyty i haftowany. Wszystkie ornaty i kapy są podarunkami królów i panów polskich, niemniéj jak jeszcze jedna monstrancja, krzyształowa z drogiemi kamieniami, tutaj ustawiona, którą król polski Michał, w czasie ślubu swego w Częstochowie, klasztorowi darował. Znajdziesz tu daléj bardzo wiele podarunków króla Jana Sobieskiego, z kosztowności na Turkach pod Wiedniem zdobytych, a między temi darami zegar wyzłacany, dwie tace srebrne, lampa wielka i inne. Nie zliczyłbyś ile tam jeszcze różnych klejnotów i pięknych kosztowności: miecze, krzyże, buławy, a wszystkie albo pamiątki po sławnych królach i wojownikach polskich, albo rzeczy przez nich samych dla klasztoru fundowane.

Dużo by trzeba miejsca, gdybyśmy tu chcieli po krótce wyliczać wszystkie bogactwa, a daléj pamiątki i szczególności Jasnogórskiego klasztoru. Powiemy tylko, że oprócz dwóch skarbców, jest tam jeszcze sala, bardzo widna i miła, a samemi pięknemi obrazami ozdobiona; że jest na piętrze znowu inna wielka i piękna sala o wyniosłych oknach z sklepieniem malowanem, a w niéj szafy wysokie, księgami zapełnione; jest daléj wielki refektarz, czyli sala jadalna o siedmiu oknach, pamiętna tem, że się w niéj odbywały gody weselne króla polskiego Michała; jest daléj w osobnym gmachu drukarnia, na drukowanie nabożnych i świeckich ksiąg przeznaczona; jest jeszcze w osobnéj budowli zbrojownia, ale dziś już żadnéj zbroi w niéj niema, jest wreszcie osobna apteka, do klasztoru Jasnogórskiego należąca.

Jeżeli sobie teraz do tych wszystkich gmachów klasztornych dodasz liczne dziedzińce i ogrody, magazyny, kuźnię, stajnie, mieszkania dla świeckich osób w klasztorze potrzebnych i tym podobne, to zrozumiesz łatwo, że klasztor Jasnogórski wygląda jak gdyby jakie miasteczko wałami obwiedzione.

Nie małéj to ulgi i nie jednéj łaski musieli zasmuceni i utrapieni doznawać od Bożéj Rodzicielki na tem cudownem miejscu, skoro tyloma darami, tyloma klejnotami i bogactwami odwdzięczali się klasztorowi i braciom zakonnym. Jakoż nie mało dobroci okazywała tu zawsze ta Pani niebieska; wiele opieki macierzyńskiéj rozciągała Ona zawsze nad tymi, którzy się do Niéj uciekali, za co niech będzie Jéj chwała po wieki wieków.

PIOSNKA ROLNIKA.

Daj mi Boże chatkę własną,
Z własnéj niwy chleb powszedni;
I dobytek odpowiedni,
I przy pracy duszę jasną.

Daj mi Boże zdrowie, statek,
Gospodarski ład w gospodzie;
Bym mógł ludziom słać w przygodzie,
I oszczędzić coś dla dziatek.

Niechaj kocha mnie rodzina,
Niech ksiądz pleban mnie pochwali;
I pan wójt się nie użali,
I niech nikt źle nie wspomina.

Wierny Twemu przykazaniu,
W każde święto i w niedzielę,
Niechaj mogę być w kościele,
Na mszy świętéj i kazaniu.

Potem doma, po obiedzie,
Niech się z książki czego dowiem,
Co sąsiadom mym opowiem,
Lub gdy w goście kto przyjjedzie.

Bo to bardzo wiedzieć miło,
Co się dzieje na tym świecie;
I weseléj jakoś przecie,
Gdy się dowie co wprzód było.

A im człek się więcéj dowie,
Tem Cię Boże, wielbi więcéj,

Tem ukocha Cię goręcéj . . .
Czego usty nie wypowie.

PIENIACZE ZAŚCIANKOWI.

„Nie pozywaj się do sądu, możeszli inak dojść rządu." (*Knapski*).

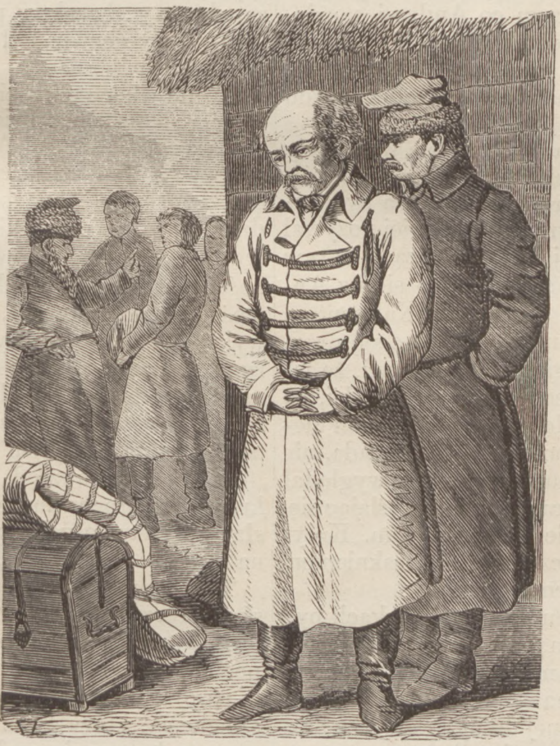
Nic nie masz prawdziwszego nad przysłowie, umieszczone na czele téj powiastki. Ludzie nie mogą i nie powinni sobie wymierzać sprawiedliwości. Jest na to prawo, są sądy. Gdy jednak sprawa jest małéj wagi i może być rozsądzoną polubownie, czyliż nie lepiéj załatwić ją spokojnie i bez rozgłosu, aniżeli wałęsać się po sądach, z muchy robić częstokroć wołu, rozdmuchiwać nienawiści, tracić grosz krwawo zapracowany, męczyć siebie, przeciwnika i samych wreszcie sędziów. Czy nie lepiéj, powiadamy, wyciągnąć do swego przeciwnika bratnią dłoń i powiedzieć mu szczerze: „bracie, tyś mnie skrzywdził, to się nie godzi chrześcijaninowi, zdajmy tę sprawę na sąsiadów, a teraz zgoda," aniżeli nie znając prawa, ni świata, zawierzyć poszeptom jakiego wydrwigrosza i wdać się w szkodliwy dla obu stron proces??

Prawdy téj boleśnie doznali na sobie dwaj panowie szlachta, zeszłego stulecia, pan Andrzej Mojtyło i pan Maciej Szczuka. Mieszkali z dziada pradziada w jednym z tych zaścianków szlacheckich, których dziś jeszcze wiele znaleźć można w kraju naszym. Dworki ich z sobą graniczyły i wbrew powszechnemu zwyczajowi, nie były od siebie odgrodzone. Ta okoliczność, jak się łacno domyśleć, była przyczyną częstych swarów, kłótni i narzekań obu sąsiadów, a szczególnie zacnych ich małżonek, Jmć pani Gertrudy Mojtyłowéj i Jmć pani Praxedy Szczukowéj, których język był jak na kołowrotku, mianowicie gdy szło o przypięcie łatki swéj sąsiadce. Wiele od nich cierpieli ich mężowie, lecz więcéj daleko biedne kury, gęsi, kozy i inne domowe zwierzęta, które ani śniąc o jakichś tam granicach, często gęsto z jednego do drugiego zaścianka przechodziły. Drażniło to nadewszystko panią Andrzejowę, heród-babę, która nie szczędząc ostrych wyrazów, wyrzucała nieraz mężowi dziwną jego opieszałość, że nie zagrodzi jakiegokolwiek płotu lub parkanu. „Ależ moja serdeńko, odpowiadał pan Andrzej; mówiłem ci nieraz, że ta granica od kilkudziesięciu lat zostaje w dyfferencji." „Co tam w dyfferencji. Alboż wszystkiemu zaradzić nie można? Na to głowa na karku. A jeźli ta nic ci nie poradzi, to jedź do miasta i poradź się pana Gryzmoły, to człowiek bardzo przyzwoity, któremu śmiało zaufać można." Jak powiedziała, tak się i stało. Nazajutrz pan Andrzej zapukał do drzwi pana Kalasantego Gryzmoły, który niegdyś był palestrantem, a obecnie wycierał, jak mówią, kąty sądowe. Miał on szczególny dar tumanienia swoją niby nauką biednéj szlachty i mieszczan, a szczególnie ich małżonek, którym nie szczędził pochlebstw, prawił komplementa i rozmaitemi drobnostkami dziwnie potrafił ująć i opanować. Różni różnie o nim mówili, wyliczali nawet sprawy nie bardzo zaszczytne, w których żywy brał udział; w ogóle jednak we wszelkich ważniejszych okolicznościach doń się uciekano, większą wiarę przywiązując do jednego jego słowa, niż do całego kodeksu. Człowiek ten mieszkał nędznie, ubierał się ubogo, mówił pokornie, lecz nadzwyczaj płynnie i jak z za rękawa sypał cytaty różnych praw obowiązujących. Do takiego to człowieka udał się pan Andrzej. Skoro mu od deski do deski wyłożył całą sprawę, pan Gryzmoła zawołał: „Czy tylko tyle?" „A tyle, dobrodzieju, czyż i tego nie dosyć?" odrzekł Andrzej. „Nie masz się waszmość czego turbować. Tu dyfferencji żadnéj już niema, bo nastąpiło przedawnienie. Jedź waszeć do domu i staw na granicy swojéj choćby fortecę, nietylko parkan. Nikt ci tego zabronić nie



Pan Maciej natarł na pana Andrzeja....—(str. 53, szp. 2).—(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Zabłocki).

może." Uszczęśliwiony Andrzej odjechał do domu i niebawem rozpoczął stawiać nie płot, ale potężny ostrokół. Macieja od kilku dni w domu nie było. Powrócił w nocy, kiedy wszystko pogrążone było we śnie głębokim, a noc zanadto była ciemną, aby cokolwiek mógł dostrzedz. Dopiero nad ranem wyszedłszy przed dom, spojrzy na zaścianek swego sąsiada i oczom swym nie wierzy: wysoki ostrokół ukrył go niemal zupełnie przed jego wzrokiem. „Co to jest!" zawołał do wychodzącego z sieni parobka. „A to pana Andrzeja parkan." „Jakto, parkan śmiał postawić na spornéj granicy, a nawet odciął kawał gruntu mojego! To nie do darowania! Hej chłopcy, weźcie siekiery i marsz zemną. Nauczę tego chłystka moresu!" To mówiąc wbiegł do domu i przypasawszy szablę, ruszył na czele kilku ludzi, pomiędzy któremi było dwóch jego synów, pod parkan, który wkrótce zachwiał się pod razami siekier i toporów. Łoskot walącego się ostrokołu, łomot żerdzi, huk siekier, szczekanie psów, które się zbiegły z całego zaścianka, rozbudziły ze słodkich marzeń pana Andrzeja, który uchwyciwszy zardzewiały w pochwie od niepamiętnych czasów kord, wybiegł, szczere czyniąc postanowienie, ani na krok nie ustępować swemu wrogowi. Rozpoczęła się walka. Czeladź starła się z czeladzią, panowie z panami. Żony tych ostatnich i cała czereda dziewek i bab czeladnych, przyglądały się z ganków walce, nie szczędząc słów najobelżywszych. Pan Maciej natarł na pana Andrzeja, lecz temu, w chwili najgorętszéj, kord odmówił posłuszeństwa i nie chciał wyleźć ze staréj, zardzewiałéj pochwy. A pan Maciej obeznany z prawami honoru, nie chciał nacierać na bezbronnego. Stali więc naprzeciw siebie, groźnie na się patrząc. Tymczasem starszy syn pana Macieja, zamiast ciąć toporem w ostrokół, zadrasnął lekko nogę p. Andrzeja. Krew się polała, i p. Andrzej więcéj z przestrachu jak z bólu, upadł jak długi na ziemię. Oczywiście nastąpiło zawieszenie broni. Widzowie i aktorowie opuścili pobojowisko, a ich głosy coraz cichły jak grom pośród ustającéj burzy.



Sąsiedzi smutnie opuścili głowę,—(str. 55, szp. 1).
(Rysował Polkowski — wyciął na drzewie Zabłocki).

W owe czasy, nie wielu było doktorów, ba, dawał się nieraz uczuć brak byle jakich nawet felczerów. Musiano tedy p. Andrzeja zawieźć o kilka mil do powiatowego miasteczka, o którem śmy wyżéj wspomnieli. Rana nie była niebezpieczną i po krótkiéj wizycie u doktora, nasza para mogła wyruszyć w podróż do domu. Lecz nieszczęście chciało, że się im nawinął, szukający po mieście klientów, pan Kalasanty Gryzmoła. Chytry lis poznał zaraz z nadzwyczajnéj bladości pana Andrzeja, że się mu coś nadzwyczajnego przytrafiło. Przybiegł tedy skwapliwie do wózka chorego, wycałował go na wszystkie strony, palnął komplement Jmości i ujrzawszy nogę obandażowaną. „Co widzę, zawołał, waszmość jesteś raniony?" „Ej, nic to, odparł Andrzej, doktór mi zaręczył, że za kilka dni będę zdrów." „Któż to ośmielił się na tak prawego obywatela podnieść rękę?" pytał Gryzmoła, udając nadzwyczajną czułość. Pani Andrzejowa opowiedziała mu całą przygodę. „Jakto, zawołał Gryzmoła, i Wmość nie myślisz temu zbójcy wytoczyć processu? toż to kryminał, wszak statut w rozdziale XI-ym, artykule 16-ym powiada: „A jeśli kto nie zabije, tylko rani, ten, będzie-li szlachcic, za szlachcica obrażenie ucięciem ręki karany będzie." „Ej, panie Kalasanty, odparł Andrzej, to stało się niechcący." „Jakto niechcący, wrzasnął Kalasanty, to on niechcący mógłby pana zabić? Waszmość nawet nie możesz utaić przed prawem takiéj zbrodni. Nikt nie powinien oszczędzać zabójcy, bo......" „Ależ on mnie nie zabił," przerwał pan Andrzej. „Tak, ale ranił, a więc mógł zabić." „Ej, jaka tam rana, odparł p. Andrzéj, toć jeno draśnięcie przypadkowe." „Tak, draśnięcie, draśnięcie, a gdybyś waszmość nie zapobiegł, coby było z tego draśnięcia?" „Jużciż gangrena." „A z gangreny?" „Śmierć podobno." „A widzisz, więc on jest zabójcą. Ale zajedźcie waszmość do mnie, a tam uradzim, jak w tym przypadku postąpić należy." Skoro Mojtyłowie przyjechali do prawnika, ten rozwinął całą swą prawniczą erudycję, byle tylko skłonić Andrzeja do wypowiedzenia Szczuce processu o napad, zamach i zranienie. Że zaś pan Andrzej, jako daleko mieszkający od miasta i nieobeznany z prawem, nie łacno mógł doglądać swéj sprawy, poruczył ją zatem pieczy p. Kalasantego, któremu na ten cel z góry dał kilkadziesiąt złotych. „Ale, ale, zawołał ten ostatni, gdy Mojtyłowie wsiadali do wózka, prawo tego wymaga, aby się wszelkie tranzakcje pomiędzy nami odbywały *sub secreto*; otóż, musisz mi Wmość przyrzec honorowie, że nikt w świecie nie będzie wiedział, iżem się podjął bronić sprawy waszmościnéj." Pan Andrzej, poczciwa dusza, nie podejrzywając wcale prawnika o złe zamiary, dał mu uroczyste *verbum nobile*, że ani słówka nikomu o tem nie powie i wyjechał przez na wpół rozwaloną bramę Gryzmoły.

Ledwie bryczka p. Mojtyły się wytoczyła, gdy zaturkotał wózek pana Szczuki, który podejrzywając wyjazd p. Andrzeja do miasta, postanowił się dowiedzieć, czyli nie myśli ten ostatni przedsięwziąść przeciw niemu kroków prawnych. Widząc go wyjeżdżającego od prawnika, utwierdził się w tem mniemaniu i groźnie namarszczył brwi, nieufnie spoglą-

dając na Gryzmołę, który z rozwartemi rękami biegł na jego spotkanie, wołając: „Szanownego pana Macieja, kopę lat jakieśmy się nie widzieli? Jakaż to gwiazda szczęśliwa, ozdobę naszéj szlachty w moje chudo-pacholskie progi sprowadza? A—domyślam się, to pewno sprawa z Mojtyłami? Głupie ludziska! grożą wmości procesem, jakby coś wielkiego się stało, żeś go waszmość trochę pokiereszował? Ale niech waszmość będzie spokojny, już ja w tém, że oni mu processu wydać nie ośmielą się. To waszmość raczéj powinieneś ich pozwać. Albożnie zgwałcili dyferencji? albożnie najechali pańskiéj granicy! nie podeptali ogrodu, nie poniszczyli *kosztownych roślin?*" „Tegoć wprawdzie nie było," wtrącił pan Maciej. „*Beata simplicitas!* nie było, ale mogło być, a to na jedno wychodzi, nieprawdaż dobrodzieju?" I tu rozwinął całą swą erudycję, użył wszelkich wykrętów prawniczych, przekonywał, prosił, zaklinał, aż pan Maciej na *serjo* uwierzył w konieczność procesu, i dla tych samych przyczyn co Andrzej powierzył mu swą sprawę, dał zadatek wraz z uroczystem przyrzeczeniem dochowania tajemnicy, i dziwiąc się w duchu przenikliwości pana prawnika, odjechał do domu.

Tym sposobem dwie sprawy naraz się wytoczyły przed kratkami Sądu Ziemskiego, i rzecz szczególna, w obu tych sprawach strona powodowa była zarazem obżałowaną i na odwrót. Pan Maciej pozywał przed kratki pana Andrzeja, nie wiedząc, że sam był przezeń pozwany. Toż samo działo się i z Andrzejem. Co większa, oba widzieli w Kalasantym swego obrońcę sądowego, nie domyślając się przecież, że on i jednemu i drugiemu służy, czyli, że jednego i drugiego zdradza; co na jedno wychodzi, bo dwom panom służyć niepodobna. Każdy z nich niecierpliwie oczekiwał pozwania swego sąsiada, nie wiedząc, że sam może być pozwany; każdy wyglądał pomyślnego rozwiązania sprawy, nie domyślając się, że ono dla obu stron będzie niepomyślnem. Kołysani tak błogą nadzieją, oczekiwali z utęsknieniem przybycia woźnego z pozwem.

Pewnéj niedzieli wieczorem, w obu dworkach byli goście, w jednym i drugim całe towarzystwo siedziało na ganku, używając miłego chłodu wieczornego. Sąsiedzi spoglądali na siebie tryumfująco, nie mogąc utaić swéj wewnętrznéj dumy i radości z bliskiego upokorzenia swego przeciwnika.

— „Czy widzisz serdeńko, mówił pan Andrzej do żony, jak Szczukowie nosa spuścili? Żal mi ich! Ale cóż robić, takie już widać przeznaczenie Boskie!"

Pan Maciej tymczasem mówił do swoich: „Uważacie waszmość jak Mojtyłowie osowieli? No, niema nic dziwnego. Nie trza było grozić mi procesem, teraz mają za swoje! Nie chciałbym ich wszelako gubić, wszak to między nami jakieś pokrewieństwo zachodzi. Dziwi mię jednak, mówił daléj, że sąd tak zwleka z pozwem. Ale cyt! patrzcie waszmość!" To mówiąc ukazał ręką na niepozorną małą figurkę, z wiązką papierów pod pachą, która się zwolna zbliżyła przed dworek pana Andrzeja, i trwożliwym głosem poczęła czytać pozew, wzywający tego ostatniego przed kratki sądowe. „A co, nie mówiłem wam, zawołał p. Maciej, że postawię na swojem. Wszak to woźny z pozwem. Poczciwy Gryzmoła!" Tym razem p. Maciej się nie mylił. Był to istotnie woźny, który wiedząc o łagodnym charakterze p. Andrzeja, ośmielił się odczytać mu osobiście wezwanie sądowe. Nie myślimy tu opisywać, ani zdziwienia i przestrachu Mojtyłów, ani tryumfu Szczuków. Ten jednak ostatni wkrótce przeminął. Nie upłynęło bowiem pół godziny, gdy p. Rymsza, teść p. Macieja, który mieszkał na drugim końcu okolicy, przyszedł doń trzymając w ręku jakiś papier. „Co to za papier, trzymasz, ojcze?" zapytał Maciej. „A to pozew podobno do waszeci," odpowiedział stary. „Ej, to chyba omyłka," zawołał niespokojnie p. Maciej, biorąc papier do ręki. „Dzieci dajcie okulary!" Gdy je przyniesiono, wlepił oczy w papier, a śmiertelna bladość okryła jego czoło. „Co ci takiego?" zapytała pani Maciejowa. Lecz mąż jéj zamiast odpowiedzi zgrzytnął zębami i podniosłszy konwulsyjnie ściśniętą pięść, wstrząsł nią kilkakrotnie, poglądając na Andrzejowy zaścianek i zawołał piorunującym głosem: „Ty lub ja, pójdziem z torbami, a postawię na swojem."

Był to istotnie pozew sądu ziemskiego, który woźny, bojąc się odczytać mu osobiście (znał bowiem zapalczywy charakter p. Macieja) wręczył teściowi jego. Przy pozwie był mały liścik p. Kalasantego te słowa zawierający:

„Mnie wielce miłościwy panie i dobrodzieju mój! Dopiero com się dowiedział, że przeciwnik waszmość pana JMć pan Andrzej Mojtyło ośmielił się mu wydać proces, a co większa pozwać go przed sąd ziemski, którego pozew wraz z tym listem dojdzie rąk WM. pana. Niech to jednak WM. pana nie trwoży. Sprawa wprawdzie ważna i wielkiéj czujności potrzebuje, wiele kosztów przyjdzie waszmości jeszcze ponieść, ale, jakem to panu mówił, wyjdziem, przy pomocy Bożéj, cali i czyści z téj afery. Na pozwy waszmość nie zważaj, przyjeżdżać do miasta nie masz potrzeby, bo z duszą i ciałem oddałem się waszmościnéj sprawie, zupełnie nie pamiętając o sobie. Przytem i t. d."

„P. S. Ponieważ od kilku tygodni szafuję swój krwawo zapracowany grosz, racz mi WMć nadesłać pareset złotych, które interesa Jego postawią na nogi."

Takiż sam list *co do słowa*, prócz adresu i nazwiska, wręczył woźny wraz z pozwem panu Andrzejowi, który również jak pan Maciej, nie zaniedbał posłać na ręce Gryzmoły żądaną kwotę. A kwota ta na owe czasy była summą niemałą dla biednego szlachcica, który żył z pracy rąk własnych, który pracował w pocie czoła na swoje i dziatwy swéj utrzymanie!

Gryzmoła tymczasem rozwlekał sprawę, jak mógł, durzył sędziów rozmaitemi wykrętami, zręcznie podsycał namiętności obu sąsiadów, to okazując im zdala pomyślny rezultat sprawy, to grożąc okropnemi skutkami przegranéj, w razie opieszałości którego z klientów lub niedostatecznego sukursu (jak nazywał) w pieniądzach, które wreszcie przebrały się zupełnie u obu sąsiadów. Wówczas Kalasanty Gryzmoła puścił się na nowy rodzaj spekulacji: oświadczył naszym sąsiadom gotowość prowadzenia ich procesu swoim kosztem, z warunkiem atoli oddania tych pieniędzy zaraz po wygranym procesie. W tym celu za każdem widzeniem się z którymkolwiek z procesujących sąsiadów, przedstawiał mu do podpisu kwity na jego imię, sporządzone wedle wszelkich wymagań prawnych i wydawane tytułem pożyczki; obejmowały one wydatki, poniesione jakoby przez p. Kalasantego na koszta prawne. Sąsiedzi lubo się krzywili i dąsali, musieli jednak podpisywać; każdy z nich bowiem w rozstrzygnięciu téj

sprawy, złote góry sobie obiecywał i przyrzekał wynagrodzić kiedyś to, co się dzisiaj uroniło. Niebaczni, zaślepieni namiętnością, nie czuli nawet, że po szyję brodzą w błocie, i ani im na myśl nie przyszło, aby się wycofnąć zeń, póki była pora po temu. Szatan w postaci Gryzmoły ciągnął ich naprzód, nie dozwalając się obejrzeć po za siebie. Grzęźli więc coraz bardziéj, coraz głębiéj, a kwity rosły z przerażającą szybkością. Taki stan nie mógł trwać długo. Sama Opatrzność wykryła zdradę Gryzmoły. Raz bowiem, gdy posyła listy do obu sąsiadów, posłaniec przez nieostrożność je zamienił, list do pana Macieja, dostał się w ręce pana Andrzeja, list zaś pisany do tego ostatniego, dostał się pierwszemu. Oszukaństwo Gryzmoły ukazało się w całéj ohydzie. Sąsiedzi postanowili podać sobie ręce. Niestety! było już za późno!

Pan Maciej, pierwszy przestąpił próg przeciwnika w zamiarze pojednania się. „Panie bracie! zawołał: obaśmy się pono zawiedli, zawiedli okropnie! Naumyślnie nas z sobą skłócono, aby potem w mętnéj wodzie ryby łowić. Sąsiedzie! to woła o pomstę do Boga!”—„Tak, tak, zawołał Andrzej ocierając łzy rękawem, skłóciliśmy się nie wiedząc o co, i z muchy wołuśmy zrobili. Nie lepiejże nam było siedzieć spokojnie, chwalić Boga i żyć, jak na prawdziwego szlachcica i chrześcijanina przystało! A dziś gonim ostatkiem z łaski tego wisielca, i kto wie, czy nie pójdziem jeszcze z torbami.”—„Bracie, zawołał Maciej, wyciągając rękę ku niemu, wszakże już nie będziem prawować się, a więc i tracić więcéj nie będziem.”—„Tak, odparł Andrzej, podając mu rękę, ale kwity, któreśmy Gryzmole wydali.... on może nas zgubić.”—„Prawda, rzekł Maciej, smutnie zwieszając głowę. Nic jednak nie zaszkodziłoby pojechać nam do miasta, zajrzeć do sądu, wyrzucić hultajowi niecny jego postępek, a może się też skruszy, zawstydzi. Wszak i to człowiek na obraz i podobieństwo Boskie stworzony.”—„Wątpię, odrzekł Andrzej, jednak pojedziem; przynajmniéj wycofamy naszą sprawę z sądu i skończym ją polubownie.”

W parę godzin potem obaj sąsiedzi w jednéj bryczce jechali do miasta. Sprawę swoją ukończyli, opłaciwszy wprzód koszta prawne, które do reszty wyczerpały szczupłe ich zapasy. Gryzmoły zaś wcale nie znaleźli w mieście. Powiedziano im, że się wyniósł zupełnie, ale dokąd, niewiadomo. Ucieszeni tą wiadomością, sądząc, że się Gryzmoła poprawił, szybko wracali do domu, aby się ze swojemi dobrą nowiną pocieszyć i zapić zgodę starym lipcem kowieńskim. Zbliżając się ku domowi, uczuli dziwny jakiś niepokój. Powiększył się on i wzrosł w przerażenie, gdy usłyszeli w domu płacz i lament, ujrzeli uwijające się po swoich dziedzińcach jakieś obce twarze, a pośród nich żyda *szejne morejne*, obliczającego wynoszone z domów sprzęty.—„Co to jest?” zawołał pan Maciej piorunującym głosem. „To jest, odpowiedział powolnie izraelita, że panowie powinniście natychmiast opuścić te dworki, które odtąd do mnie należą.”—„Na mocy jakiego prawa, łotrze?”—*Herst du*, łotrze, *grojse fanaberje*, pomrukiwał żyd, na mocy oto tych kwitów, które mam od pana Gryzmoły.”—„Ale to być nie może! zawołał Andrzej, my ztąd nie ustąpim.”—„Nu, jak wola, odpowiedział żyd nizko się kłaniając, to może panowie chcecie procesować?” i przy tych słowach uśmiechnął się ironicznie. Sąsiedzi opuścili smutnie głowę: Nie było co się spierać, kwity były formalne, Gryzmoła uciekł, prawować się nie mieli czem, a zresztą obawiali się. Musieli więc pogodzić się ze swoim losem i poszli—z torbą.

Synowie Macieja zaciągnęli się do wojska, a on sam został podstarościm u jakiegoś magnata. Andrzej zaś jako starszy od niego, nie mógł znaleźć miejsca, siedział więc z żoną na kącie u swego szwagra, którego miał w téjże okolicy, aż wreszcie oddał Bogu ducha. Powiadają, że się zapił. Gryzmoła zniknął bez wieści. Żyd wystawił na miejscu dworku pana Andrzeja karczmę, i rozpajał swoich sąsiadów. Pan Rymsza zaś, załamując ręce z żalu, po ubytku jednego z zaścianków czyli raczéj po przejściu takowego w obce ręce, często zwykł powtarzać swoim wnukom, ukazując im dworki obu powaśnionych sąsiadów: „Tak kończą ci, co bez ważnéj potrzeby, uciekają się do prawa, zapominając, że największa wygrana jest w zgodzie braterskiéj.”

Na tem i my swoją powieść zakończym.

STENOGRAFJA.

Bardzo dawno, bo jeszcze u Rzymian uważano, że zwyczajne pismo zajmuje piszącemu bardzo wiele czasu, starano się więc robić rozmaite skrócenia, przy pomocy których pisarze daleko szybciéj niektóre wyrazy kreślić mogli. To jednakże nie wystarczało ludziom, i nie przestawali oni myśleć nad tem, aby pismo uczynić jak najszybszem, pracowali więc usilnie w różnych krajach i do pomyślnych doszli rezultatów. Sztukę, którą utworzyli, nazwali z greckiego *stenografją*, czyli po polsku *skoropismem*, to jest, że ona uczy tak prędko pisać jak się mówi. Pomyślcie, co to za wielkie ulepszenie w piśmie! Nie ma prawie stanu, dla któregoby stenografja nie zapewniała wielkich korzyści. Ksiądz, który przygotowuje kazanie, trawi nad jego napisaniem kilka godzin z powodu powolności pisma zwyczajnego, za pomocą zaś stenografji, w kwadrans skończyłby swą pracę. Toż samo powiedzieć można o adwokatach, studentach, pisarzach i innych. Każdy autor doświadcza tego, iż nieraz tak wiele naraz myśli tłoczy jego głowę, że niepodobna wszystkich przelać na papier, bo zanim jedną się napisze, już inne ulecą daleko. Temu niedostatkowi zapobiedz może tylko stenografja, któréj szybkość porównać można chyba z szybkością kolei żelaznéj.

Za granicą, gdzie bywają sejmy, stenografja oddaje już wielkie usługi, bo wszystko, co tam mówcy przemawiają, zaraz jednocześnie spisują stenografowie, a w kilka godzin toż samo już i w gazetach jest wydrukowane!

Lecz nie myślcie, że tylko za granicą potrafią stenografować, są i u nas tacy, co na tem polu pracują i tworzą polską stenografją. Tak np. pan Józef *Poliński*, mieszkający we Lwowie, w Galicyi, wydał książkę, z któréj, aby tylko kto był dobrych chęci i wytrwał w pracy, z łatwością nauczyć się może stenografji polskiéj. Utworzył on przytem towarzystwo, to jest, zebrał około siebie kółko amatorów stenografji, z któremi wspólnie stara się zachęcać ludzi do uczenia się sztuki szybkiego pisania.

Na tem dziś kończymy — później kiedyś, opowiemy wam, na czem polega skoropismo i jakie jego główne zasady.

Przyrząd Rawlinga do czyszczenia obówia.

Narzędzie to bardzo praktyczne w użyciu, składa się z listwy *a*, mającéj przy końcu kształt kopyta szewckiego, które nadaje się tak na najforemniejszy trzewiczek, jak na największy but. Za posunięciem rękojeści *b*, która na żelaznym zębatym pręcie się posuwa, doprowadza się obuwie do odpowiedniego wyprężenia, jakiego wymaga należyte wyczyszczenie.

Przyrząd ten przytwierdza się stale na ścianie, jak to widzimy na rycinie poniżéj umieszczonéj.

ROZMAITOŚCI.

— Od kilku tygodni nowego gatunku przemysłowiec pojawił się w Warszawie. Wywiaduje on się naprzód pobocznie o wszystkich stosunkach familijnych; kogo z rodziny nie ma, gdzie on jest i t. d. Następnie przychodzi do pomieszkania najczęściéj jakiego prostodusznego rzemieślnika, przedstawia się jako taki i taki prosto przybyły z odległych gubernji Cesarstwa, przynosi pozdrowienie od synów, braci, mężów i t. p. zamieszkujących w tamtych stronach; donosi, że oni niedługo przyjadą do Warszawy, że już wyjechali z miejsca, że tylko na téj lub owéj stacji zatrzymali się czas jakiś, a on ich tym sposobem wyprzedził. Rozumie się, że takie nowiny trafiają do serca każdego, więc go częstują czem mogą, on je jak najęty, a często chowa w papier i do domu bierze; w końcu narzeka, że się w podróży wszystkich pieniędzy pozbawił, że teraz koło niego kuso, że przydałoby się kilka złotych na to i owo, słowem, tak się pięknie przymawia, że każdy mu wściubi w rękę: ten dwa złote, ten rubla a czasem i trzy ruble. Ale niestety listy nadeszłe od tychże samych osób, co już wracać miały, donoszą, że one się jeszcze w powrót nie wybrały nawet i przekonywują, że ów głosiciel, jest tylko prostym wydrwigroszem i oszustem, umiejącym ze wszystkiego korzystać. Ostrzegamy więc naszych czytelników, aby przez tego łgarza w pole wywieść się nie dali.



Przyrząd do czyszczenia obówia.
(Rysował Kozarski—wyciął Albert R.)

— Wyrzekają nieraz, że członkowie Towarzystwa Dobroczynności, przeznaczeni do naocznego przekonania się o stanie różnych osób, są nazbyt skrupulatnemi i surowemi. Nic dziwnego — Towarzystwo, z niemałym mozołem zbierając fundusze, radeby nieść pomoc tylko prawdziwie potrzebującym; a w Warszawie znowu jest mnóstwo szalbierzy i próżniaków, co wszelkim sposobem starają się zkądkolwiek grosz wydostać z ujmą istotnéj nędzy. Ostrożność zatem konieczna. O rodzajach oszukaństw przekonają dwa następne zdarzenia.

Towarzystwo dostało prośbę o wsparcie od mieszkańca ulicy Szczygléj, tytułującego się kapitanem. W prośbie powiedziano, że ów kapitan jest obłożnie chory, nie może się ani ruszyć, nie ma ani z czego żyć, ani się czem ratować. Towarzystwo poleciło właściwemu Opiekunowi sprawdzić rzecz całą na gruncie. Sprawdzenie okazało: najprzód, że proszący nie był żadnym kapitanem, daléj—że rzeczywiście był chorym na nogi, ale nie skutkiem ran, lecz hulaszczego życia, następnie że chleba miał po uszy i wyglądał jak ćwik; w końcu, że ów niby kapitan był wydrwigroszem nielada, i konceptu na złe miał nie mało. Umiał on pięknie pisać, a jako stary bywalec, wiedział jak do czyjego przekonania trafić. Dowiedział się o kilku miłościwych bogatych paniach, udał się do nich wszystkich z prośbą i wyjednał sobie, iż prawie każda przysyłała mu albo obiad albo śniadanie albo wieczerzę, tak że mu wypadło na dzień trzy śniadania, dwa obiady i cztery wieczerze. On to wszystko zmiatał, więc nic dziwnege, że jak karmnik wyglądał. To jedna jego spekulacja — druga zaś była taka. Trzymał on sobie do usług chłopca i prenumerował Gazetę Policyjną. Gazeta ta ogłasza nazwiska osób przybyłych do Warszawy — otóż on do tych wszystkich osób rozpisywał listy z prośbą o wsparcie pod rozmaitemi pozorami; chłopiec z niemi chodził do domów i hotelów i przynosił znaczne pieniądze, czasami i po 20 złp. dziennie. I takiemu to spekulantowi zachciało się jeszcze pieniędzy od Towarzystwa Dobroczynności, zapewne na wódkę, żeby mu lepiéj smakowały owe trzy śniadania, dwa obiady i t. d. Czyż więc źle zrobił Opiekun, że zbadał skrupulatnie całe postępowanie owego kapitana, i tym sposobem zaoszczędził dla biednych jakie kilka lub kilkanaście rubli?

Innym znów razem, wyrobnik ze Starego-Miasta, upraszał o wsparcie, przywodząc, że na życie zarobić nie może, że on słaby na nogi, że żona jego chora od kilku miesięcy i na łożu złożona. Opiekun pan G. poszedł na sprawdzenie. W Starem-Mieście powiedziano mu, że wyrobnik ten mieszka w domu tym a tym w suterynach. Schodząc do suteryn, usłyszał w pomieszkaniu owego wyrobnika katarynkę obera wygrywającą. Otworzył więc zwolna drzwi od izby i zgadnijcie, co w mieszkaniu owego biednego, schorzałego wyrobnika ujrzał? Przy drzwiach kataryniarz grał aż huczało, na środku izby, nędzny, chory niby na nogi wyrobnik, wywijał rączo na odsiebkę z jakąś tęgą choć brudno i obdarto odzianą dziewczyną. Na stole zaś stała flaszka z wódką i z łokieć kiełbasy i ta niby od kilku miesięcy chorobą złożona wyrobnica, z kieliszkiem w ręku przypijała do kumy podochoconéj już także, wrzeszcząc co sił: „do ciebie ciotko!" Oburzony tym widokiem rozpusty i fałszu Opiekun, zaczął wyrzucać wyrobnikowi ich niegodne postępowanie, ich kłamliwe prośby i ich niekatolickie życie. Zpoczątku wyrobnicy słuchali w milczeniu, ale gdy zwolna przez otwarte drzwi zaczęło coraz więcéj przybywać pijanéj staromiejskiéj rabiaty, poczęły się szepty, aż wreszcie któryś śmielszy i czelniejszy wykrzyknął: a za drzwi Opiekuna. Więc wszyscy daléj do niego, i ledwie zacne człeczysko co tchu wydostawszy się na ulicę, uniknął guza, a może i guzów. Nieprawda, że przyjemna to rzecz być Opiekunem? Lecz oddajmy słuszność ludowi Warszawskiemu, że podobne wypadki szalbierstw i fałsze dość rzadko przypadają.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 3 (15 Lutego) 1865 r.